

Oszmiana blues

Przyjeżdżający tutaj z dalszych okolic odkryją w pejzażu wrocławskim trzy niezwykle obecności Geta Stankiewicza: najwcześniejszą tablicę wiedzy elementarnej (jeden plus jeden daje dwa) na Jatkach i z ostatniego czasu surowy pomnik ludziom Solidarności obok Politechniki oraz jego własną postać „murzyna z Oszmiany” w odlewie brązowym na modernistycznej kamienicy przy Rynku Solnym. Niewiele lub zgoła nic podobnego nie dało by się znaleźć w Warszawie. Ale to przecież Wrocław, zlewisko wschodnio-zachodnich temperamentów, humoru i zachowań, młode i prężne. Nasza zazdrość nic tu nie pomoże.

Get Stankiewicz to specjal tamtych stron, to sztukmistrz w tym rozumieniu słowa, jak to ujmował Norwid. O płycie metalowej, rysunku na niej, ryciu, narzędziach, kresce i światłocieniu miękkich partii, papierze wreszcie i kolażowa- niu wie wszystko. Zna praktyki historyczne i ich niuanse warsztatowe po koniec wieku XVIII. Prócz umiejętności i daru ręki ma zapamiętanie w pracy i iskrę szaleństwa skromnie nazywaną fantazją. Jest prawdziwym, skocznym ułanem metalu. Na gruncie treści prześmiewca z siebie i ironista wobec rzeczy i ludzi, odkrywa widzowi groteskę obrazu jak smaczne ciasteczko. Kształci oko, zaskakuje skojarzeniami, zadrażnia przyzwyczajenia, ale robi to zdrowo, ciepło i bez złośliwości. Teatr jego graficznych zdarzeń przypomina soczystą zawartość płócien dawnych Holendrów, ma zmysł ludowy i, jednocześnie, wyrafinowanie. To jakby wieczne starcie, jak w baroku, zapustów z postem.

Słowem Get — celebrant warsztatu, człowiek zasad i rygoru, umie strzelić do nas okiem i robi to przednio. Zresztą ten warsztat to u niego coś żywego i zmiennego jak organizm z krwi i kości, jak druh-przeciwnik. W dobie narastających mechanicznych, cyfrowo-elektronicznych łączy rodzaj porozumienia, jaki nam tym sposobem proponuje, ma siłę fizycznego uścisku ręki.

„miedzioryt Towarzystwi”, ostatni zespół prac Geta, jest więc dzieckiem tego samego ojca co wszystkie inne przed nimi: jest mieszkanką gry z powagą. Ale jest też i czymś nowym. Zapraszając do współudziału dwudziestu kilku artystów, z ich rysunków, notatek czy szkiców Get rytuje na płycie, a następnie odbija swoją-nie swoją podwójnie sygnowaną kompozycję. Niebawem sprawność ręki i sposobów wykonawczych doprowadzają do identyczności obrazu finalnego z pierwotnym, lekko tylko reżyserowanym materiałem. Patrząc na odbitki, nabieramy przekonania, że poza kolegami wyszłoby mu także powtórzenie Dürera.

W tej zabawie graficznej dominuje koncept, jesteśmy przecież we Wrocławiu. Ale jest w tym również przypomniana dawna sztuka wolnej repetycji. Jednak nie wiem, czy nie w największym stopniu znaleźć tu można wyzwanie, sprawdzian siebie i innych, sięganie po niemożliwe i niepraktykowane. Tour de force, jak to się czasem mówi. Tych celów i sensów przedsięwzięcia jest tu na pewno kilka. Get na pierwszy plan zadania wyciąga bardzo wielu innych, bo — można powiedzieć — na jakiś sposób znudził się już samym sobą. Ale im usilniej podsuwa nam tych artystów i z nimi się zespala, tym ostrzej pokazuje i uwyraźnia całego siebie. I to jest główna prawda pokazu.

Danuta Wróblewska